

MARGINESY

# Sophie

Józek i Franek poznali się, gdy mieli może z pięć lat. Rodzice Franka przyjechali do miasta za pracą i wprowadzili się do niewielkiego białego domku z małym ogródkiem, za którego płotem mieszkali rodzice Józka. Siłą rzeczy – chłopcy niebawem stali się najlepszymi kumplami. Całymi dniami grali w kulki, w piłkę, jeździli na rowerkach, budowali bazy. Razem przechodzili ospę i dzielili się lodami. Poszli do jednej podstawówki, którą niemal całą przesiedzieli w jednej ławce. W sumie mocno się różnili – jeden chudy i długi, z nogami jak patyki, drugi sporo niższy, z piegami na nosie i rudą czupryną. Józek został inżynierem, Franek był niespełnionym pisarzem, który co chwilę miał się innych zająć, ale stale pisał do kilku gazet czytanych przez niewielką grupkę pasjonatów. Chłopaki razem dorastały, razem przechodziły swoje wielkie i małe miłości, razem leczyły połamane serca i nogi. Wydawać by się mogło, że nic ich nie rozdzieli – także wtedy, kiedy jeden z nich na kilka lat wyjechał z kraju z żoną i dzieckiem. Co prawda, na kilka lat stracili stały kontakt, ale nie na tyle, żeby po tym, kiedy się spotkali, nie było tak jak dawniej.

Po rozwodzie Józek, którego dorosła córka zamieszkała daleko od niego, postanowił wrócić do jedyne miejsce, gdzie czuł się u siebie, i znowu zamieszkał niedaleko Franka. Franek nigdy się nie ożenił, tak jak nigdy nie został znanym i cenionym pisarzem. Znowu wszystko wyglądało tak jak wtedy, gdy nie mieli nawet dziesięciu lat – chodzili razem do kina, pili lemoniadę i nasmiewali się ze wszystkich i wszystkiego. Przez te wszystkie lata nie gniewali się na siebie dłużej niż godzinę, zawsze któryś dawał za wygraną i po chwili znowu byli najlepszymi kumplami.

Sytuacja diametralnie się zmieniła, gdy pewnego dnia do ich rodzinnego miasta przyjechała w odwiedziny Kryśka. Właściwie już nie Kryśka, a Sophie, jak kazała do siebie mówić. Kryśka chodziła z chłopakami do podstawówki – miała włoski

w kolorze myśim blond zaplecione w dwa warkoczki,

które podkreślały jej wytrzeszcz oczu. Cały efekt był

na dodatek jeszcze wystrzony przez grube okulary

i wystające wielkie jedyńki. Józek i Franek przez

całe dzieciństwo dokuczali Kryśce, która krzy-

wo chodziła, była płaska jak deska do matury

i na dodatek ciągle siedziała w domu, gdzie albo

czytała, albo rzępoliła na pianinie, do czego

zmuszała ją matka. Sophie miała w ogóle mocno

przerąbane w domu – matka pokładała w niej

wszystkie swoje niespełnione nadzieje, którym

średnio zdolna córka nie za bardzo mogła sprostać,

więc gdy tylko nadarzyła się okazja, wyszła za mąż

za sporo od siebie starszego mężczyznę, którego poznała

podczas wakacyjnej pracy w kawiarni i wyjechała z nim do Stanów Zjednoczonych. Całe miasto trzęsło się od plotek o jej wielkiej karierze za oceanem i luksusach, które zapewniał jej nowo poślubiony mąż milioner. Prawda była trochę inna, czego jednak nikt nigdy nie zweryfikował. Gdy więc Sophie pojawiła się w mieście, wywołała niemalą sensację wśród dawnych znajomych. Lata dodały jej tylko uroku – zniknęły warkoczki, zez i wystające zęby. Pojawił się za to sznur pereł, bez którego nie ruszała się nawet po bułki, eleganckie kwieciste sukienki i buty na obcasach.

Po tylu latach niezmaczonej wielkiej przyjaźni pomiędzy Józkiem i Frankiem to właśnie Sophie miała w niej najwięcej namieszać. Panowie niemal zapomnieli, że nie mają już osiemnastu lat i zaczęli ze sobą rywalizować zupełnie bez umiaru. Obaj zasypywali Sophie kwiatami, prezentami, czekoladkami. Obaj splukiwali się dla niej niemal doszczętnie, żeby zwrócić na nich uwagę. Sophie bardzo to odpowiadała. Nigdy nie odmawiała prezentów, czasem specjalnie napszczała na siebie Józka i Franka i doprowadzała do spotkań w jej apartamencie, które zawsze bardzo burzliwie się kończyły. Panowie poza obrzucaniem się inwektywami przy każdej okazji całkowicie zaprzestali jakichkolwiek przyjaznych spotkań. Jednemu i drugiemu było trochę łyso bez wspólnych wyjazdów na ryby, do lasu i grania w szachy, ale obaj byli zbyt dumni, żeby odpuścić. Gdy sytuacja była już całkiem nie do zniesienia, Franek, któremu nigdy nie układało się w życiu osobistym, postanowił, że całkowicie rozwikła sprawę – i oświadczy się Sophie.

Ona, co prawda, nie była za bardzo zakochana ani w jednym, ani w drugim, ale rzeczywistość była taka, że jej niezujący mąż nigdy nie był milionerem. Właściwie to nie był nawet średnio bogaty, ale za to miał smykałkę do lewych interesów i przyciągania kłopotów, więc całe życie męczyli się z kolejnymi długami, w jakie popadali, a Sophie nie przyjechała do miasta z sentymentu, ale dlatego, że po śmierci męża wyprzedzała wszystko, co miała, żeby opłacić resztki długów, i przyjechała do kraju z garstką pieniędzy, które miały jej tylko zapewnić przetrwanie na kilka miesięcy. Zamiast wynajmując małe mieszkanie, wynajęła apartament – żeby sprawić pozory takiej, za jaką ją wszyscy mieli i szybko złapać nowego męża, który zapewniłby jej spokojne życie.

Franek mocno się zdziwił, gdy nieumówiony zapukał do drzwi Sophie i zastał w środku Stefana, właściciela fabryki guzików. Na dodatek Stefan był tylko w spodenkach, a Sophie w szlafroku. Frankowe serce pękło, a wszystkie nadzieje na ułożenie sobie życia u boku Sophie przysły. Szybko pojechał do Józka, by zalewając się łzami, opowiedzieć mu o swoim odkryciu.

Józek powzdychał trochę – ale pokazał mu inne swoje odkrycia. Znalazł w internecie trochę informacji o życiu Sophie, to znaczy Kryśki. Znalazł artykuł o przestępstwach gospodarczych jej niezującego męża, o długach, o wyrokach... A informacja o tym, że Sophie zostawiła ich obu dla Stefana od guzików, jeszcze bardziej go rozśmieszyła. Józek powiedział też Frankowi to, o czym plotkowało całe miasto w ostatnich tygodniach, a co jemu zupełnie umknęło – Stefan właśnie się rozwodził, a jego żona tak pokierowała sprawami, że został niemalże w samych gatkach, w których widział go Franek. To znaczy niezupełnie – został mu jeszcze kabriolet, którym musiał tak zaimponować Sophie.

Ślub Sophie i Stefana odbył się bardzo szybko – oboje ewidentnie liczyli, że dzięki niemu nieźle się wzbogacą, a tamten weekend Józek i Franek spędzili wreszcie razem na rybach.



NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

# Droga donikąd

Futbolowa rywalizacja w naszej ekstraklasie dobiega końca. Mistrzem Polski prawdopodobnie zostanie Legia Warszawa, która wygrała ważny mecz z Lechem Poznań. Będzie to podwójny sukces warszawskiej drużyny, która wcześniej zdobyła Puchar Polski.

Przed nami jednak sprawdzian naszej reprezentacji – mam na myśli mecz eliminacyjny do mistrzostw świata w 2014 r. w Brazylii z zespołem Mołdawii w stolicy tego kraju Kiszyniowie 7 czerwca br. Trener Waldemar Fornalik postanowił przed tym spotkaniem „rozgrzać” swoją drużynę i zakontraktował spotkanie z reprezentacją Liechtensteinu 4 czerwca br. Nie wiem, kto wpadł na pomysł, by grać właśnie z tym zespołem. Był to pomysł raczej śmieszny. Przecież drużyna Liechtensteinu plasuje się na najniższej półce europejskiej rywalizacji i jest jedynie w stanie nawiązać w miarę wyrównaną walkę z zespołami San Marino i Andory. „Rozgrzewka” z taką drużyną wniesie niewiele pozytywnego pod względem szkoleniowym i taktycznym do przygotowań do spotkania z Mołdawią. Przypomnijmy, że wcześniej, przed ważnymi meczami eliminacyjnymi, nasza reprezentacja grała z podobnym przeciwnikiem, a mianowicie z zespołem Andory. Potem był nieudany występ w meczu z Ukrainą na warszawskim Stadionie Narodowym.

Przed meczem z Mołdawią trenerowi Waldemarowi Fornalikowi nie jest do śmiechu, nabrało się bowiem trochę niedomówień, których trener nie potrafił wyjaśnić. Nie potrafił albo nie chciał. Z gry w reprezentacji zrezygnował Obraniak, którego trener podobno nie lubi. Przypomnijmy, że w meczu z Ukrainą trener sięgnął po Radosława Majewskiego, który był najsłabszym punktem polskiej drużyny. Trzeba powiedzieć, że w meczu z Ukrainą Waldemar Fornalik trochę przekombinował w ustawieniu składu. Wstawił do tzw. drugiej linii zawodników, którzy zawiedli (był jeszcze Łukasik). Teraz Majewski i Łukasik nie znaleźli się nawet w szerokiej kadrze na mecz z Mołdawią – i słusznie. Błąd trenera kosztował nas jednak stratę trzech punktów w meczu z Ukrainą.

Teraz Waldemar Fornalik walczy o swój byt jako selekcjonera kadry. Tylko zwycięstwo może przedłużyć sprawowanie tej funkcji. Trzeba však mieć świadomość, że nic to nie da naszej reprezentacji, pozostanie nam bowiem jedynie iluzoryczna szansa na awans do puli finałowej mistrzostw świata. O pierwszym miejscu w grupie można tylko pomarzyć. Drugie miejsce daje prawo do gry w barażach. Trudno jednak będzie się na tym miejscu uplasować. Nawet wygrane z Mołdawią i San Marino go nie gwarantują.

Jestem sympatykiem sportu i życzę sukcesów naszym sportowcom. Futbolistom również. Zdaję sobie jednak sprawę, że te życzenia są na wyrost. Po prostu nasz krajowy futbol jest wyjątkowo kiepski, a zawodnicy grający w zagranicznych drużynach jak dotąd nie spełniają pokładanych w nich nadziei.

Kiedy Waldemar Fornalik obejmował stanowisko trenera reprezentacji, myślałem, że coś pozytywnego zacznie się dziać. Niestety, niczego takiego się nie doczekałem. Wydaje mi się, że cała praca z reprezentacją przerasta Waldemara Fornalika. Trener się miota, gubi po drodze konsekwencję, która miała odróżniać go od poprzedników. Przejął ekipę od poprzedników i czyni niemal to samo co oni. Inaczej mówiąc – niczego nowego i pozytywnego nie wnosi. Takie próby montowania reprezentacji, jakie czynił Franciszek Smuda, a teraz Waldemar Fornalik, prowadzą w ślepy zaułek. Są to próby doraźnego ratowania reprezentacji, które nie przynoszą pozytywnych efektów. Uważam, że doraźne kombinowanie przy montowaniu drużyny nie wpłynie na poprawę gry naszej reprezentacji oraz naszej opinii w futbolowym świecie. Należy odważnie i bardziej perspektywicznie podejść do tworzenia przyzwoitego reprezentacyjnego zespołu – nie podniecać się meczami eliminacyjnymi do mistrzostw świata, ale skoncentrować się na tworzeniu drużyny z myślą o mistrzostwach Europy w roku 2016.

Na koniec bieżącego sezonu futbolowego działacze zafundowali nam reformę rozgrywek w ekstraklasie. W poprzednim felietonie napisałem, że jest to propozycja bzdurna, która niczego dobrego nie wniesie do krajowego futbolu. Pomysł wyszedł z kierownictwa Ekstraklasy SA. Głównymi twórcami tej reformy są szefowie spółki Bogusław Biszof, Marcin Animucki i Maciej Wandzel. Za pomysłem tej reformy wcale nie stoi dobro krajowego futbolu. Tajemnicą poliszynela jest fakt, że chodzi głównie o kasę, w tym także dla szefostwa Ekstraklasy SA.

Zarząd PZPN ugiął się pod naciskiem szefów Ekstraklasy SA. W efekcie w nowym sezonie (rozpocznie się w trzeci weekend lipca br.) drużyny ekstraklasy rozegrają 30 meczów w sezonie zasadniczym. Potem zostanie jeszcze rozegranych 7 kolejek w grupie mistrzowskiej i spadkowej. Przed dodatkowymi meczami wszystkim zespołom odejmie się połowę dorobku punktowego. Jest to, moim zdaniem, wyjątkowy dziwolaż, nieznan w innych szanujących się federacjach futbolowych.

Decyzja zarządu PZPN nie była jednomyślna. Od głosu wstrzymał się przedstawiciel Dolnego Śląska Andrzej Padewski. Przeciwko reformie głosowali Kazimierz Greń z Podkarpacia oraz wiceprezes PZPN do spraw szkoleniowych Roman Kosecki. Warto przytoczyć słowa Romana Koseckiego. Powiedział on m.in., że gmatwanie systemu rozgrywek jest szkodliwe z wielu względów. Dłaczego mamy się wzorować na Szkocji czy Belgii, a nie na Hiszpanii, Anglii czy Niemczech? Nie rozumiem, dlaczego komuś zależy na szkoleniu krajowemu futbolowi. W polskiej ekstraklasie winno grać 18 drużyn, tyle samo w I lidze oraz w jednej grupie II ligi. Bez żadnych faz grupowych i dzielenia punktów. W pełni zgadzam się ze słowami Romana Koseckiego.

Nowy system rozgrywek w ekstraklasie zaszkodzi krajowemu futbolowi. Odczują to w pierwszej kolejności kluby, w których trenerzy będą mieć mniej czasu na szkolenie zawodników. Ba, trener reprezentacji również będzie miał mniej okazji, by pracować z powołanymi do kadry zawodnikami. Trzeba przyznać, że jest to nierozsądna reforma i dziwię się, że przystał na nią prezes Zbigniew Boniek, który przecież mówił, że wyprostuje wiele spraw, co przyczyni się do podniesienia poziomu krajowego futbolu, poziomu szkolenia w klubach, a szczególnie młodzieży. Na razie są to tylko słowa. Konkretnych czynów nie widać.

Zabawa w takie reformowanie rozgrywek szkodzi naszemu futbolowi. Trudno mi zrozumieć, dlaczego członkowie zarządu PZPN ulegają ludziom, którzy dbają o swoje korzyści, a nie o dobro polskiej piłki nożnej. Powiem krótko – jest to droga donikąd.

Mam nadzieję, że jednak wróci się do jasnego systemu rozgrywek, takiego jak w szanujących się federacjach, o czym mówił m.in. wiceprezes do spraw szkoleniowych PZPN Roman Kosecki.